



Zdzisław Saryusz-Wolski

Skrawki wspomnień

*Przeszłość – jest to dziś,
tylko cokolwiek dalej.*
– C. K. Norwid

Życie, dawno minione lata, jawią się nie jako film, lecz pojedyncze epizody, fragmenty niegdysiejszych zdarzeń, słowem – obrazy zatrzymane „w kadrze”. I chociaż znikli gdzieś ludzie uczestniczący w tamtym naszym życiu, nie ma już tych miejsc, psów, kwiatów, przedmiotów, to niekiedy nocą czuć ciepło rąk matki, słycać głosy nieobecnych, pachną jakieś łąki i sady, pobrzmiwa niemożna już i zapomniana melodia... A chyba najżywsze, najbarwniejsze są obrazy z lat najodleglejszych, z lat dziecińczych.

Lata te przeminęły u mnie dawno, dawno temu, a przypadły na okres II wojny światowej. I chociaż był to czas bardziej lub mniej uświadamianych i odczuwanych zagrożeń, wydaje mi się częstokroć (o paradoksie!) słoneczny i jakby nie z tej ziemi. Widać musi już tak być, jak to wyraził Adam Mickiewicz:

*Kraj lat dziecińczych! On zawsze zostanie
Święty i czysty jak pierwsze kochanie...*

...Gaszę lampę i wpatruję się w ciemność. Zda się, że dochodzą z niej odgłosy Września 1939 roku. Jakaś gorączkowa krzątanina, czyjeś wołania, a wszystko to w zapadającym wieczornym zmroku, przy ciepłych powiewach wiatru...

Wrzesień 1939

Miałem wówczas zaledwie trzy lata, nic więc dziwnego, że z tego okresu zapamiętałem tylko (a może aż?!) dwa fragmenciki. Pierwszym była, jak się później dowiedziałem od Matki, ewakuacja na początku września rodzin zawodowych wojskowych 1. Pułku Strzelców Konnych, stacjonującego w Garwolinie. Ojciec mój, dowódca jednego ze szwadronów, zostawał z pułkiem, a ja z Mamą i innymi cywilami, dużymi i małymi, ruszaliśmy gdzieś w ciemność nocy. Był, jak pamiętam, ciepły wieczór. Jechaliśmy z niewielką prędkością odkrytą ciężarówką, siedząc plecami do szoferki. Za nami równie wolno

posuwały się inne samochody. Jeszcze dzisiaj widzę zaklejone ich reflektory, dzięki czemu światła zostały ograniczone do wąziutkich szparek.

Osoby Ojca niestety nie zachowałem w pamięci. Pozostał On dla mnie na zawsze postacią symboliczną, abstrakcyjną.

– A nie pamiętasz, że Ojciec w ostatniej chwili rzucił nam dodatkowy koc? – pytała później Mama. Nie pamiętam...

To było ostatnie widzenie się moich Rodziców. Niebawem Ojciec został ciężko ranny pod Krasnobrodem i przewieziony do zamojskiego szpitala. Jednak zanim do nas (byliśmy podobno gdzieś pod Włodawą) dotarł z tą informacją ordynans i zanim dojechaliliśmy do Zamościa, Ojciec zmarł. Był to dzień 30 września 1939 roku.

Drugi, zachowany w moje pamięci epizod z tamtego czasu to cmentarz w Zamościu, a właściwie tylko odczucie chłodu, jakaś słoneczna aleja i drzewa... Jak potem opowiadała Mama – gdy zrozumiałem, że Ojciec znajduje się pod tym „pagórkem” wybuchłem: „Mamo, odkopmy Tatusia!”.

Wujek Borys

Po wrześniowej tułaczce i powrocie do Garwolina, zamieszkaliśmy u Wujka Borysa, starszego brata mojej Mamy. Spaliśmy w jednym dużym pokoju parterowego drewnianego domku. Było to w pobliżu koszar, przy szosie lubelskiej. Pamiętam, że wieczorami, już po zgaszeniu światła, Wujek często palił papierosy. Jeszcze dzisiaj widzę mroki tamtych nocy rozjaśniane różowymi ich ogienkami.

Po jakimś czasie zamieszkaliśmy, tj. Mama, Babcia i ja, w jeszcze nie całkiem ukończonej piętrowej willi państwa Witaczyńskich. Jak się po latach dowiedziałem z książki kolegi pułkowego mojego Ojca, Wacława Zaleskiego (W Warszawskiej Brygadzie Pancerno-Motorowej 1939. Z dziejów 1. Pułku Strzelców Konnych), chor. Narcyz Witczak-Witaczyński, płatnik 1. Pułku Strzelców Konnych został uwięziony za działalność w Armii Krajowej i zginął w Majdanku w 1942 roku.

Wspomniana willa znajdowała się przy ul. Polnej 9, na działce sąsiadującej z terenem naszych koszar, oddzielonej od nich bardzo wysokim zielonym płotem. Płot ten był zbity ze ściśle do siebie przylegających desek. Nie można było znaleźć w nim najmniejszej szparki.

Wkrótce zamieszkał z nami syn Wujka Borysa – Bohdan. W czasie Jego narodzin w Szpitalu Przemienienia Pańskiego na Pradze, w dniu 16 września 1939 roku, miało miejsce kolejne bombardowanie Warszawy, co u rodzącej kobiety wywołało chorobę umysłową. Trafiła do szpitala psychiatrycznego i po pewnym czasie zmarła.

Któregoś dnia aresztowano Wujka za działalność konspiracyjną i osadzono na Pawiaku, Mama wraz z Ciotką Tamarą postanowiły Go wykupić. Przedsiębiorcza Ciotka mieszkała w Lublinie, gdzie prowadziła liczne interesy: handlowała biżuterią, dolarami, alkoholem. Po opłaceniu funkcjonariuszy niemieckich zostały ustalone miejsce i termin „odbioru” Wujka Borysa. Wszystko przebiegało zgodnie z planem do momentu spotkania – przyprowadzono na nie... innego mężczyznę. Czy stało się tak na skutek przypadku czy zamierzonego oszustwa? Mama z Ciotką nigdy nie zdołały tego dociec, aczkolwiek podobne nazwisko cudem ocalonego przemawia raczej za tą pierwszą ewentualnością. Faktem jest, że do jednego człowieka los się uśmiechnął, zaś do drugiego – wprost przeciwnie. W tym czasie Wujek był już w drodze do Oświęcimia. Podobno przeżył obóz i zmarł gdzieś na drodze, podczas ewakuacji więźniów. Nigdy nie udało się ustalić miejsca, w którym spoczęły Jego doczesne szczątki...

Katyń

W czasie okupacji to słowo często było wymieniane w naszym domu i od początku budziło u mnie grozę. Stało się synonimem czegoś strasznego. Mama z babcią zbierały wycinki z gazet, w których Niemcy zamieszczali personalia zidentyfikowanych oficerów i odszukiwały znajome nazwiska. Była także broszurka w języku polskim, a w niej listy ofiar, zdjęcia, jakieś opisy. Przypominam sobie trupi, jak mi się wówczas wydawało, zapach farby użytej do druku. Kiedyś to wszystko gdzieś znikło z domu i przez wiele lat nie wiedziałem dlaczego...

Roboty

Był to późny wieczór, albo wczesny ranek. Obudziło nas (kuzyna Bohdana i mnie) ostre światło umieszczonej pod sufitem, nieosłoniętej żarówki, aż do bólu rażące zaspane oczy. W pokoju było dwóch umundurowanych Niemców, z którymi Mama i Babcia rozmawiały łamaną niemieczyzną. Nie wiedziałem o co chodzi, ale jednego byłem pewien: nad nami zawisła jakaś groźba.

W pewnym momencie Mama sięgnęła do szafy, wyjęła lornetkę oraz oficerski pas Ojca i podała Niemcom. Coś powiedzieli i wyszli. Później Mama uświadomiła mi, że udało Jej się wtedy uniknąć wywiezienia na roboty do Niemiec.

Wkroczenie Armii Czerwonej do Garwolina

Niemcy opuścili Garwolin chyba w lipcu 1944 roku. Odkryto się bez walki. Początkowo co prawda zakładali ewentualność obrony i w zielonym płocie koszarowym pojawiły się otwory i szczeliny, z których wystawały lufy. Utworzone na terenie koszar stanowiska strzeleckie połączyli transejami i okopami. Widać przygotowywali się do desantu Rosjan na istniejące jeszcze wówczas błonia pomiędzy rzeką Wilgą, a południowo-wschodnią częścią Garwolina. Któregoś dnia do kilku luf włożyłem po parę drobnych kamyczków. O skutkach, jakie mogły z tego wyniknąć pomyślałem później, gdy byłem starszy. Jeszcze dzisiaj cierpię na mnie skóra na myśl, jakie niebezpieczeństwo groziło wówczas wszystkim mieszkańcom wili państwa Witaczyńskich.

Jak wspominałem Niemcy opuścili koszary i miasto bez walki. Na szosie lubelskiej pojawiły się oddziały sowieckie i „berlingowcy” (tak wówczas w moim otoczeniu nazywano Wojsko Polskie). Pamiętam, że zapanowała powszechna radość. Wpadłem w jakiś dziwny trans i ogołociwszy nasze grządki ze wszystkich kwiatów (dominowały wśród nich nasturcje), wyległem na szosę prowadzącą z Lublina do Warszawy. Tłum wiwatował, klaskał, odśpiewywał hymn. Żołnierze w polskich mundurach witali się i całowali z mieszkańcami Garwolina, wręczali święte obrazki (mój niestety gdzieś się później zawieruszył). Atmosfery tamtego słonecznego, lipcowego dnia, ogólnej radości i szczęścia, które na nas wówczas spłynęło – nie zapomnę nigdy. Dopiero znacznie później zrozumiałem, że nie było to takie pełne wyzwolenie...

Koszary zostały zajęte przez Armię Czerwoną. Niebawem rozebrano zielony płot (poszedł chyba na opał), a wkrótce potem znikły nasze kury. Niemców przeżyły, Rosjan nie zdołały. Najgorsze doświadczenie było jednak przede mną. Któregoś sierpniowego dnia przypadkowo zawitał do nas młody mężczyzna. Mama nakarmiła go i dała coś na drogę. Szedł do Warszawy, bo tam Powstanie. Pokazał nam swoje uzbrojenie. Był to jeden granat związany filipinką.

Przez wiele wieczorów widać było łuny pożarów na horyzoncie. Co się stało z naszym przypadkowym gościem? Jakie były jego dalsze losy: czy trafił do Powstania, czy przeżył? Nigdy nie miałem się tego dowiedzieć

Na jesieni i zimą 1944 roku w koszarach urządzono wojskowy szpital. Zaczęło do niego trafiać mnóstwo rannych żołnierzy. Mama na ochotnika zgłosiła się do pomocy – wykonywała prace salowej. Tuż przed Świętami Bożego Narodzenia wróciła do domu bardzo zapłakana, chwyciła kilka choinkowych cukierków (długie, opakowane w kolorowe, szeleszczące papierki) i zaraz wybiegła z powrotem. Później powiedziała, że zaniósła je młodemu radzieckiemu żołnierzowi, któremu amputowano wszystkie kończyny. Chłopiec ten wkrótce zmarł. Nie pamiętam czy doczekał tamtych Świąt.

Wspomniane złe doświadczenie przeżyłem któreś zimowej nocy. Musiałem wyjść wtedy do ustępu, znajdującego się przy nieistniejącym już płocie. W świetle księżyca zobaczyłem bezpańskie psy buszujące w poniemieckich okopach i usłyszałem brzęk puszek po konserwach (Swinaja tuszonka i inne, z angielskimi napisami). Zwierzęta dobierały się do ciał zmarłych żołnierzy, „chowanych” w rowach i przykrywanych blaszanymi puszkami...

Później, zwłaszcza chyba po 1989 roku, dochodziło u nas do ohydnych aktów profanacji grobów radzieckich żołnierzy. Żadna z nich nie mogła się jednak równać z tamtą, mówiąc oględnie, profanacją, której autorami byli współrodacy. A podobno człowiek to brzmi dumnie...

* * *

Taśma z obrazami z lat 1939-45 zrywa się gwałtownie. Ponad dwa tysiące dni i nocy zamknęło się kilkoma wspomnieniami. I tamte kilkakrotne odmiany wszystkich pór roku, wypełnione ciepłą obecnością Bliskich, codziennymi czynnościami, radościami i smutkami, odeszły gdzieś w nieznanne. Znowu są wiosny i jesienie, lata i zimy. Znowu świat rozbrzmiewa głosami dzieci, ich śmiechem i płaczem na przemian. Jest to jednak inny świat i inne dzieci.